

Przetom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

<i>Antoni Fibich: Nasz narodowy bilans. II.</i>	821
<i>Karol Wróblewski: Socjalizm a kwestya agrarna</i>	832
<i>Z Rosyi</i>	838
<i>W. Lutosławski: U wrót Nowego Świata</i>	842

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.



WIEDEN.

Skład główny we Wiedniu w księgarni Włh. Frick, I. Graben Nr. 27
we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurowicza
w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

1895.



→ Wiedeń, dnia 23. listopada 1895. ←



Nasz narodowy bilans.

II.

Wewnątrz stan Galicyi pozostawia również wiele do życzenia. Podzieleni jesteśmy na dwie narodowości: polską i ruską. Narodowość polska na kilka kuryi przedstawiających różne interesa, na kilka stronnictw wrogo dla siebie usposobionych, narodowość ruska na moskalofilów, polonofilów, ukraińców i radykałów. Dodajmy do tego żydów Polaków, Syonistów, ortodoksów, wreszcie socyalnych demokratów, a mamy dość smutny obraz tych różnych prądów, które w odśrodkowych kierunkach kraj nasz nurtują. A przecież to kraj rdzennie polski, powołany nadto do prowadzenia, do nadawania tonu sprawie polskiej!

Przypatrzmy się bliżej tym różnym prądom i zbadajmy, jak je uregulować, tamami i wałami zabezpieczyć, jaki im nadać kierunek, aby tej starej naszej polskiej ziemi niszczącemi nie załaly falami.

Mamy do tego prawo, gdyż my tu jesteśmy gospodarzami. Z drugiej strony nie unosmy się szowinizmem, nie przeceniajmy sił swoich, a nadewszystko rządźmy się ściśle i skrupulatną sprawiedliwością.

Otóż jeżeli wielkim głosem wołamy o przysługujące nam prawa, nie odmawiajmy ich bratniemu narodowi ruskiemu. I przeszłość i przyszłość nasza ściśle jest z sobą związana i jeżeli Ruś dla Polski, to tembardziej Polska dla przyszłości Rusi koniecznie jest potrzebną. Zerwanie unii, która nas łączyła, byłoby wyrokiem śmierci dla obu narodów. Wiedzą o tem dobrze prawdziwi ruscy patriocy i szczerze z nami zgody pragną, ale i my o tem wiedzieć i być gotowymi powinniśmy do najdalej idących ustępstw, pod warunkiem jednak, że nam dostarczoną bę'zie gwarancya, że nie

wyjdą one na korzyść wspólnych Rusi i Polski wrogów. Koncesye, które Rusi poczynimy i dla nas nie pójdą na marne, przeciwnie, nakład ten sowicie nam się opłaci. Ostatnie wybory dowiodły, że stosunek nasz wzajemny coraz lepszym się staje i jeżeli tak, jak dotąd w wyborach, w obsadzaniu posad, w szkołach zadość czynić będziemy uprawnionym życzeniom uczciwych Rusinów, natedy niewątpliwie zyskamy dla siebie tych ukraińców, którzy w dziwnej niekonsekwencji zarówno Moskwę, jak i Polskę nienawidzą. Moskalfi i ci radykałowie ruscy, którzy z socyalnymi demokratami w ścisłem zostają przymierzu lub przeszli do ich obozu, nie są to narodowe ruskie stronnictwa, są to wrogowie Rusi, przeciw którym tak Ruś, jak i Polska walczyć powinna, nie wchodząc z nimi w żadne układy. Poza stronnictwami temi stoi kilkumilionowa rzesza ludu włosciańskiego ruskiego. Krzątają się menerowie krańcowych ruskich stronnictw, aby ją dla siebie pozyskać, dotychczas bez wielkiego powodzenia. Rzesza ta głęboko do swej wiary przywiązana, obdarzona zdrowym instynktem, głuchą jest na nawoływania przeciwne religii i poczuciu jej narodowemu. Zresztą zagrożona w nędzy i ciemnocie, jest ona jeszcze res nullius i należeć będzie do tego, kto jej otworzy bramę oświaty i lepszego bytu. Nie dadzą jej tego fałszywi prorocy, ale mogą ją ludzić urojonemi przyrzeczeniami, naszym więc obowiązkiem otworzyć jej oczy i zająć się szczerze jej losem.

Są u nas różne gatunki patryotyzmu. Są szczerzy patryoci, którzy twierdzą, że należy wyłącznie oprzeć się na żywiole polskim, a wszelkim czysto niepolskim żywiołom, Rusinom — żydom wypowiedzieć wojnę na śmierć i życie. Przeceniają oni niestety swe siły, niech skrupulatnie zliczą nasze narodowe fundusze, a przekonają się, że nas poprostu na taką walkę nie stać. W naszym położeniu byłoby dziwną lekkomyślnością, gdybyśmy tworzyli sobie sztucznie nieprzyjaciół, zamiast dokładać wszelkich usiłowań, aby ich sobie zjednać bądź na sprzymierzeńców, bądź na towarzyszy własnej naszej armii. Mamy zresztą, odstręczając od takiej walki, przykłady w historii. Hiszpania nie wyszła dobrze na wytępieniu wszelkich obcych żywiołów. Edykt nantejski i upadek Jansenistów pozbawiły Francją elementów poważnych, przyczyniły się znacznie do tej lekkości w temperamentie narodowym, która spowodowała epokę Ludwika XV i rewolucyjne eksperymenty, a zarazem podniosły do tego stopnia Berlin, że w parę wieków potem, zdolny był opasać Paryż żelaznym pierścieniem. Żaden na świecie naród nie składa się z tylu różnorodnych żywiołów jak Anglicy, a pomimo to stanowią oni najoryginalniejszą, najsilniejszą rasę. Jakkolwiek więc wolni jesteśmy od antysemityzmu grasującego w niemieckich prowincjach, stosunek nasz do żydów wiele, bardzo wiele

pozostawia do życzenia. W wielkiej masie są dla naszej sprawy obojętni i troskliwie dzielą się od nas ubiorem, językiem, zwyczajami. Znaczna część wykształconych nawet żydów manifestuje pod hasłem syonizmu odrębność swoją narodową. Jestto znowu objaw choroby wieku, intolercancyi, nienawiści międzynarodowej. Rozproszeni po całym świecie, nie mając piędzi ziemi własnej, ojczystej, a nadewszystko zżyci z narodami, z którymi od wieków wspólną dołę dzielą, ci szaleńcy marzą o utworzeniu odrębnego żydowskiego państwa, nas adują szowinizm Bismarków i Pobiedonoszewów! Czyż to nie przypomina bajki o owej żabie, która kuć się chciała? A jakież to zarazem brzydkie! Polska otwarła gościnnie bramy oplwanemu, prześladowanemu jak dzikie zwierzę w całej Europie plemieniu, a ono nam taką monetą płaci? Prawda. Syoniści stanowią między żydami znikomą jeszcze mniejszość, ale objawy tej wyłączności okazują się przy każdej prawie sposobności. W przeddzień wyboru posła z miasta Rzeszowa, pismo żydowskie „Postęp“ pewne wyboru swojego kandydata wołało: „do widzenia zatem plemię aryjskie po jutrzejszych wyborach“, co z pewnością nie odpowiadało przekonaniom zacnego i uczonego profesora. Takie wyzwanie do walki w imię rasowych haseł, może i u nas doprowadzić do antysemityzmu.

Inteligencya żydowska, która z taką rozkoszą wygłasza hasła naj-krajniejszego liberalizmu, powinna przedewszystkiem zejść do lochów własnego domu, oczyścić je z średniowiecznego obskurantyzmu, fanatyzmu i barbarzyńskiej wyłączności, starać się wykorzenić w własnej rasie te plemienne wady, które żydów jeszcze charakteryzują. Byłby to najlepszy i najskuteczniejszy sposób walki przeciw antysemityzmowi, sposób wskazany przez filantropa i milionera br. Hirscha. Z drugiej strony i my nie jesteśmy bez winy. Zapominamy, że żyd jest takim, jakim go urobiło prześladowanie, pogarda, jakiej przez tysiąc lat ulegał, że znaczna część żydów szczerze złączyła się z naszymi narodowymi aspiracyami i dowiodła tego poświęceniem swego życia i mienia, że pod względem etycznym wielu z nich w niczem nam nie ustępuje, że nawet ciemna masa żydowska obdarzona jest wieloma cennymi przymiotami, których nam często brakuje: ścisłą oszczędnością i wstrzemięźliwością, cnotami rodzinnymi. Jeśli nadto zważymy, że rasa ta obdarzona jest bystrą inteligencją, wysoko rozwiniętym praktycznym zmysłem, natedy uznać musimy, że byłoby z naszej strony wielkim błędem, gdybyśmy jej zaasymilować się nie starali, a to bez względu, czy starania te wcześniej lub później się ziszczą. Kościuszko, Mickiewicz, Niemcewicz, Kraszewski, Orzeszkowa — wszyscy, którzy na sprawę naszą poważnie się zapatrują, wszyscy są zdania, że ten cenny nabytek dla naszych narodowych funduszów koniecznie pozyskać

należy. Otóż słusznie bardzo emancypujemy się z pod ekonomicznego wyzysku żydów, zakładając kasy gminne, kółka rolnicze, staramy się chrześcijańską ludność wyzwolić z pod ich monopolu, a żydów zwracamy na pole czysto produkcyjnej pracy, ale systematycznego wyłączenia żydów z każdego stowarzyszenia, naśladowania i powtarzania haseł wiedeńskich i berlińskich, jakie się i u nas w publicystyce pojawiać zaczynają, w żaden sposób do produkcyjnej, narodowej pracy zaliczyć nie można.

Jest jeszcze ciśniejszy, wyłączenijszy sposób pojmowania patriotyzmu. Są ludzie, którzy nie tylko Rusi i Żydów stanowczo się wyrzekają, ale nawet nie wszystkie warstwy polskiej rdzennie ludności do narodowej powołują pracy.

Są jeszcze niestety i tacy, na szczęście już ich niewielu, którzy do dziś dnia twierdzą, że wyłącznie szlachta powołana jest do prowadzenia polityki narodowej, bo tylko w jej łonie żyje tradycja narodowa.

Są z drugiej strony politycy najświeższej daty, którzy rzucają na szlachtę, a nawet na całą inteligencję kłatwę, skazują ją na zatracenie i tylko na chłopie, na ludzie włościańskim przyszłość Polski budować chcą.

Między jednymi i drugimi jest dużo odcieni, a tak u jednych, jak i u drugich są i tacy, którzy w stronniczej zapamiętałości interes ojczyzny zupełnie prawie z oczu tracą, wyznając zasady międzynarodowej albo arystokracji, albo demokracji. Są to tylko połowiczni patryoci, którzy w swoich krańcowych skrzydłach patriotyzm zupełnie w trąbę puszczejają.

„A tout seigneur, tout honneur“. Zaczniemy od naszych ultrakonserwatystów, od szkoły krakowskiej i tak zwanych „Staińczyków“. Zaznaczamy zaraz, że im ani gorącego patriotyzmu, ani dobrej wiary nie odmawiamy. Doktryna ich jest sumą zasad z hotelu Lambert wyniesionych, powstała z błędów przez demokrację polską w przeszłości rzeczywiście popełnionych i z wniosków, przez szkołę historyczną krakowską z dziejów naszych wyprowadzonych. Jestto zatem doktryna silnego rządu, na arystokracji rodu i rozumu oparta, ingerencji i wszelkim zewnętrznym objawom i manifestacyom opinii publicznej przeciwna. Reakcyjna wskróś ta nauka do politycznego położenia Polski zastosowana, musiała konsekwentnie do polityki troistej lojalności doprowadzić. Oczywiście jest ona mylną, nam tu jednak głównie chodzi o to, czy pomnożyć lub uszczuplić może nasze zasoby narodowe.

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że przynajmniej jest oportunistyczną, że ograniczając nasze postulata tylko do bytu narodowego, znajdziemy łatwiej ufność i posłuch u tych, którym oddani jesteśmy na łaskę i niełaskę. Próżne marzenie! Nasza naro-

dowość skazaną jest tak w Petersburgu, jak i w Berlinie na zagładę i choćbyśmy się czołgali dniem i nocą u stóp naszych ciemięzców, wyroku tego nie zmieniają. Czyż tu i tam nie wiedzą, żeśmy zbrojne usiłowania wykreślili stanowczo i na zawsze z naszego programu? Są o tem mocno przekonani, ale chcą mieć przynajmniej pozory do eksterminacyjnej wobec nas polityki. Zresztą co innego jest wyrzec się raz na zawsze zbrojnych powstań, a co innego stracić wiarę w przyzłe zmartwychwstanie ojczyzny.

W trzecim stuleciu niektórzy chrześcijanie głosili zasadę, że można bez grzechu na pozór wyrzec się swej wiary, dla uniknięcia przesładowań, byle zachować ją czystą, nienaruszoną w sercu i sumieniu swoim, a kościół napiętnował tę zasadę jako herezyą.

My tak daleko iść nie możemy i nie żądamy głośnego i demonstracyjnego wyznawania narodowej wiary nawet kosztem męczeństwa, my uważamy nawet za konieczne, aby tak pod rosyjskim, jak i pod pruskim zaborem każdy wypełniał obowiązki wobec Rządu i państwa. Ale jako herezyą napiętnować musimy doktrynę, która wiarę naszą każe nam stłumić, nawet we wnętrzu serc naszych. Czyż mamy jeszcze iść dalej, jak Car Aleksander I., który w przystępach zdrowego stanu umysłu uznawał w zupełności nasze prawo do niepodległej egzystencji? Zresztą któż nam uwierzy, kto uwierzy nawet twórcy kacerskiej szkoły p. Koźmianowi? Le vieux farceur! Pomimo, że przyjemny pędzi żywot, pierwszy postawiłby na kartę życie, mienie i tę troistą lojalność swoją, gdyby za to niepodległość Ojczyzny wygrać zdołał!

Doktryna ta, z wielu poważnych stron zwycięsko odparta, musi być jednak zapisaną do stanu biernego naszego narodowego inwentarza. Nietylko chodzi o ilość, ale i o jakość funduszów nagromadzonych w skarbcu narodowym, w którym p. Koźmian proponuje szlachetne złoto zastąpić jakimś pod'ejszym kruszczem.

Przemoc i własne błędy zadały nam już straszliwe klęski. Czyż mamy je dobrowolnie pomnażać, pozbawiając się tego, czego nam żaden wróg wydrzeć nie zdoła — wiary w zmartwychwstanie naszej Ojczyzny? A wiara ta stanowi dla nas niezmierną moralną siłę, z którą przetrwaliśmy i przetrwamy niejedną jeszcze złą chwilę. Bez niej bezpowrotnie zginieemy.

Nasze ultrakonserwatywne żywioły grzeszą nadto dążnością do reakcyi, do wyłącznego panowania w kraju. Najnowsze zdobycze myśli ludzkiej, siła pary i elektryczności, mogą według nich doprowadzić społeczeństwo nad brzeg przepaści, a konstytucyą, parlamentaryzm, jeżeli nie mogą być zupełnie usunięte, należy tak urządzić, aby władza pozostawała wyłącznie w ręku arystokracji rodu i jej satelitów.

Są to zasady tem niebezpieczniejsze, że wypowiedane są nieraz z najlepszą wiarą, z pewną fanatyczną naiwnością, a nie są wynikiem samolubnej kastowości. Na szczęście są to próżne marzenia, które postępu i cywilizacji wstrzymać nie zdołają, które jednak, jako niezdrowy element, szkodliwym są czynnikiem w naszym narodowym rozwoju, a pewną część naszej arystokracji (prawda, że część bardzo małą) przerzucają na łono międzynarodowej arystokracji.

Natomiast umiarkowane, konserwatywne nasze żywioły stanowczo do czynnego stanu w naszym narodowym majątku wpisać możemy. Ta szlachta nasza, która zbudowała Polskę, stworzyła unię i konstytucją 3. maja, która wydała Kościuszkę i Mickiewicza, która i w porozbiorowych usiłowaniach i walkach najwięcej wydała zasobów z krwi, mienia i pracy swojej, ta szlachta nasza zawsze stanowi najcenniejszą, najpewniejszą, choć nie najliczniejszą część naszego narodowego kapitału, a te dzikie głosy, które wołają, że szlachta est delenda, nie pochodzą z prawdziwie patryotycznej piersi.

Konserwatyzm tej szlachty, jakkolwiek czasem w kwestyach socjalnych za daleko idący, konserwować przedewszystkiem usiłuje narodowe nasze ideały i aspiracje, już nieraz poświęcał władzę swoją i interesa na ołtarzu Ojczyzny. To skrzydło armii jest najsilniejsze, przeciw któremu skierowane są główne ataki nieprzyjaciela. Otóż nie zapominajmy, że wrogowie nasi, Moskal i Prusak od kilkudziesięciu lat bezustannie biją wszystkimi swojemi działami w te dwa bastiony naszej narodowej fortecy, w szlachtę i duchowieństwo. Bo i wiara nasza katolicka, kościół i duchowieństwo nasze są jednym z filarów gmachu naszego, a w Prusach, a zwłaszcza w Rosyi Polak i katolik są to prawie jednoznaczne wyrazy i równemu ulegają prześladowaniu. Prawda, że ta szlachta nasza zrujnowana ekonomicznie, osłabiona utratą krwi w stuletniej walce przelanej, nie potrafi sama, jak się to niektórym wydaje, urzeczywistnić naszych narodowych ideałów, ale w każdym razie przyznać musimy, że ten zdziesiątkowany hufiec trzyma w ręku silnie nasz narodowy sztandar i że panuje w nim ogień i zapal daleko jaśniejszy, niż go ożywił w chwili upadku Polski. Śmiało rzec można, że dziś niema między nami Targowicy, ani takich, którzy za srebrniki gotowi by byli zaprzędać Ojczyznę.

Zatem nie idzie wcale, abyśmy nie mieli dzielić się na stronnictwa, abyśmy naprzeciw konserwatyzmowi naszej szlachty nie mieli postawić naszej demokratycznej falangi. Jestto niemożliwe i byłoby nawet szkodliwe. Walka stronnictw w każdym ucywilizowanym społeczeństwie jest konieczną i jeśli potrzebni są tacy, którzy na to baczą, aby wóz w szalonym biegu nie stoczył się

w przepaść, to jeszcze potrzebniejsi tacy, którzy go wprowadzają w ruch, pilnując, aby w głębokiem nie ugrzązł błocie. Ale pamiętać powinniśmy, że jestto wspólna, choć podzielona praca, która nas do wspólnego wiedzie celu. A u nas ta walka przybiera czasami fałszywe, jaskrawe i szkodliwe barwy. Niejeden z ultrakonserwatystów z nienawiści ku demokracji kokietuje z lekka z wrogami naszymi, a niejeden demokratą uśmiecha się mile do międzynarodowego socjalizmu. Dochodzi to czasem do śmieszności. Są tacy, którzy naszych Stańczyków przezywają stale Targowiczami i zdrajcami Ojczyzny, tacy, którzy wszystkich od Romanowicza do góry nazywają Stańczykami i tacy, którzy wszystkich nieledwie od księcia Adama Sapiehy na dół począwszy darzą mianem demagogów, lub nawet socyalistów. Otóż niejedna bitwa dlatego przegrana została, że między pojedyncze oddziały wojska i ich dowódców wkradło się zgubne zawiści uczucie i dlatego tę niezdrową stronictwu walkę do stanu biernego zaliczyć musimy.

Jeżeli konserwatyzm naszej szlachty jest tą nicią, która nas łączy z przeszłością, tą tradycją, bez której żaden naród istnieć nie może, to demokracja jest przyszłością naszą, jest, jak to sam hr. Tarnowski przyznał, faktem, prawem, nieprzebraną kopalnią dobrego i w społeczeństwie polkiem stanie się siłą zbawczą i rządzącą. Jest prawem, przez świętą wiarę naszą sankcyonowanym, jest faktem przez rok 1789 w życie wprowadzonym, jest dla nas siłą zbawczą, bo któż jeśli nie demokracja wcielić zdoła w nasze narodowe szeregii tę wielką masę ludową, która dotychczas tylko sporadycznie udział w narodowej pracy brała?

Na szczęście demokracja ta istnieje, żyje i działa na chlubę i pożytek kraju. Wyrzekła się dawnych błędów swoich, lekkomyślności w prowadzeniu spraw krajowych i jakkolwiek dąży do zrealizowania demokratycznego programu, ma przedewszystkiem cele narodowe na oku. Najczystszy jej przedstawicielem jest Tadeusz Romanowicz, obok którego ludzie tej miary, jak Szczepanowski, Weigel i wielu innych nie zadawalniają się próżnym frazesem, tworzeniem wielkiego rozgłosu dla imienia swego, ale pracą, ciężką pracą podnoszą realnie i rzeczywiście poziom publiczn go dobra. Co się w kraju szkodliwego stało, ten ostry rozdział na kurze, który stworzył antagonizmy pojedynczych warstw i nierówny wymiar publicznych praw i obowiązków, stało się wbrew ich woli i usiłowaniom, co zaś dobrego dla kraju zrobiono, podniesienie oświaty ludowej, przemysłu krajowego, kredytu włościańskiego, uregulowanie finansów krajowych, zrobione częścią za ich inicjatywą, częścią z ich energicznem współpracownictwem.

Zapewne! Czeka ich jeszcze wielka praca, którą prowadzić są zmuszeni w szczupłym gronie, otoczeni zewsząd przeciwnikami

i nieprzyjaciółmi. Za nimi stoi wprawdzie liczna inteligencja kraju przeważnie w miastach, a gęsto również i po dworach szlacheckich rozsiadła, ożywiona szczerym patryotycznym i postępowym duchem, ale w Sejmie wskutek sztucznej organizacyi wyborczej stanowią znikomą prawie mniejszość. Mniejszość ta, gatunkowo ciężka, waży wiele na szali uchwał sejmowych, a i to przyznać należy, że konserwatywna większość prawdziwym patryotyzmem wiedziona, w wielu razach ulega prądowi czasu, jak się to stało ze zrównaniem szkolnych ciężarów.

Powiedzmy otwarcie prawdę! Największą zawadą dla naszej demokracji jest ta rozpasana demagogia, która sięjąc nienawiść klasową, stara się zaprowadzić nową rodową arystokrację „au-rebours“ i w swoim szalonym rozpędzie zbiega poza narodowe szlaki. Byliśmy świadkami jej orgii podczas ostatnich do Sejmu wyborów. Pan, ksiądz, nauczyciel, a nawet wójt i pisarz gminy zostali wyjęci z pod prawa, uznani za niegodnych piastować godność wyborcy. Za zdrajcę kraju uznany każdy, kto nie wypełniał ściśle rozkazów komitetu rzeszowskiego. Odzywały się tony dzikiego prawie, śmiesznego fanatyzmu. Na zebraniu przedwyborczem w Mielcu urzędowy mowca w zapale oratorskim wołał: „i ja w siermiędze się urodziłem, ale panowie zmusili mnie nosić surdut, sprzedając swoje suknie tanio żydom, którzy je znowu nam za bezcen odstępują“. Jakżeż się temu dziwić można, jeżeli uczonej delegat na zebranie ze Lwowa przybyły, wywodząc chłopom swój rodowód, wołał z dumą: „a matka moja z domu zwała się Zajęcowa, a nie żadna Zajęcowska“. Takiemi mowami, różnemi ludowemi pismami przez lat kilka karmiono niewykształcony umysł chłopca i doprowadzono go w znacznej części do bezmyślnej nienawiści wszystkiego, co nie jest chłopem i apostołem tej nowej wiary.

Ale czyż tylko apostołowie ci temu winni? Już dawniej w „Przełomie“ wykazałem, że w znacznej części ponosi winę i kraj i większość sejmowa. Leży to w naturze ludzkiej, że małe i lekka krzywda wywołuje niestosunkowo wielki i ciężki żal. Ustrój gminny, ustawa drogowa powinny były być dawno zreformowane, dwór i plebania w bliższej z ludem styczności, wydawnictwo pism ludowych inaczej prowadzone. Mówiąc wszystkim w oczy prawdę — sceny takie, jakie w Gorlicach i Cholerzynie się odbywały, nie mogą w sercu chłopca wzniecić uczuć chrześcijańskiej miłości. Jakiż jest rezultat tej szalonej agitacyi? Dwunastu włościan weszło do sali sejmowej. Bardzo dobrze. Byłoby dla kraju krzywdą, gdyby w Sejmie brakowało Potoczka, Wójcika, a zwłaszcza Bojki. Chłop poseł kształci się w Sejmie i wychodzi zeń dojrzałszym politycznie, niż doń wchodził i potrzebny tam jest nie dla-

tego, żeby korzystnie potrafił zastąpić rutynowanego parlamentarzystę, ale dlatego, że tam usłyszy i inne słowa jak te, któremi go przez lata darzono i dowie się, że są ludzie, którzy mają serce i rozum, chociaż ich matka była z domu Zajączkowska, a nie Zajęcowa. Ale nie wszyscy chłopci pójdą do Sejmu. I znów czytać będą te same frazesy i znów słuchać będą tych samych słów nierozumnej, niepatryotycznej nienawiści i znowu wierzyć w to będą, że tylko ten jest porządnym człowiekiem, kto się urodził w s u k m a n i e. Przypuszczam, że panowie Lewakowski, Rewakowicz, Wysłouch, a nawet Jägermann nie ujrzeni światła dziennego przybrani w siermięgę, przypuszczam, że przyszli na świat w stroju Adama — w stroju aniołów. Ale wiem o tem, że ich zaraz obwinęto w polskie pieluchy, że pierwsze słowa, które wypowiedzieli, brzmiały dźwiękiem polskiej mowy, że pierwsze myśli, gdy byli dziećmi, że pierwsze ich czyny, gdy na młodzieńców wyrosli, dla naszych ideałów narodowych były poświęcone. I dzisiaj ich patryotyzmu nie podaję w wątpliwość, przeciwnie z chęcią przyznaję, że „Przyjaciół ludu“ znacznie się przyczynił do rozbudzenia ducha narodowego w włościaństwie naszym. Ale czy w swych demagogicznych zapędach, w tej szalonej gonitwie za popularnością nie zesłi bezwiednie z drogi, po której Polak wyłącznie kroczyć powinien? Niestety! zesłi dosyć daleko. Przyjaciół ich polityczny p. Iwan Franko w niemieckim piśmie „Die Zeit“ obrzucił nie tylko szlachtę, ale całą bez wyjątku inteligencją polską słowami pogardy i obelgi. Do tego więc doszło, że współpracownik polskiego pisma może nas bezkarnie lżyć i oszczerstwa na nas miotać za granicami kraju wobec obcych, a w znacznej części wrogich nam żywiołów! Nienawisć nie tylko szlachty, ale i wszystkich, których matka z domu Zajączkowska, tak zaślepiała tych panów, że stracili z oka prawdziwą miłość ojczyzny, którą kochać trzeba w całości, a nie w ułamkach. A niech opieki nad ludem nie biorą w monopól.

Tylko wszyscy razem, tylko wspólnymi siłami stworzyć możemy chłopca obywatela i patriotę, a wówczas nasz skarbiec narodowy takim wzbogacimy klejnotem, że kładąc głowę do wiecznego snu, usniemy z błogą dla przyszłości Ojczyzny nadzieją.

Ale jakie drogi prowadzą do tego celu? Przedewszystkiem nie negatywne i nie destrukcyjne. To słońce, które nad ziemią świeci, deszcz, który ją użyźniającymi skrapia kroplami, posucha, która niweczy nadzieje rolnika, nie robią różnicy między większym a mniejszym obszarem. Nadto, rolnictwo w całej Europie przechodzi ciężkie próby. Handel międzynarodowy, polityka cłowa, taryfy kolejowe, a nawet bimetalizm, są to kwestye dla rolnika bez porównania ważniejsze, niż te, które obecnie dzielą „obszar-

nika“ i „zagrodnika“. Zatem nie idzie, abysmy z załatwieniem tych ostatnich zwlekać mieli. Przeciwnie uporajmy się z nimi jak najspieszniej już dla tego samego, że są do przeprowadzenia najłatwiejsze i przyszła kadencya sejmowa nie powinna zostawić ani jednego ciężaru, któryby więcej mniejszą, jak większą własność obarczał. Program agrarny był już w „Przełomie“ omawiany, tu tylko nacisk położymy na konieczność zaprowadzenia związków rolniczych, włości rentowych i kas powiatowych w myśl wniosku p. Sękowskiego. Nie potrzebuje podnosić, że ponad wszystkim góruje potrzeba podniesienia oświaty ludowej, co osiągnąć się da tylko znacznymi ofiarami na szkoły i na dobrego, lepiej wynagradzanego nauczyciela.

Pozostaje jeszcze reforma wyborcza i reforma gminna. Ani nauka, ani doświadczenie nie wypowiedziały jeszcze o powszechnem głosowaniu ostatniego słowa. W społeczeństwie zupełnie oświeconem i patriotycznym, ma zapewne racją bytu, ale byłoby przedwczesnem w społeczeństwie, w którem oświata nie dotarła jeszcze do szerokich mas. W każdym razie głos tego, któremu na publicznem dobrze wiele zależy, który rozumem i zasługą góruje nad tysiącami, nie powinien być tyle tylko wart, co głos człowieka ciemnego, lub którego rzecz publiczna nic, albo mało co obchodzi. Wielokrotność głosów przy powszechnem głosowaniu jest zatem i w teorii wskazaną. U nas nie może być jeszcze wcale o niem mowy, a nawet włościanie sami nie stawiają tego postulatu. Natomiast żądanie bezpośrednich wyborów w kuryi włościańskiej jest usprawiedliwione, a nadewszystko pożądanem jest pomnożenie liczby posłów z miast, gdyż w takim razie nie tracilibyśmy tyle wypróbowanych i dzielnych sił, jak przy ostatnich wyborach.

Komitet rzeszowski stawia w swoim programie żądanie połączenia obszaru dworskiego z gminą. Z tego źródła wypływające żądanie to nie jest pozbawione pewnej hipokryzji i ironii. Jakto? Ten znenawidzony „obszarnik“ ma być złączony nierozzerwalnym związkiem z gminą, p. Zajączkowski z p. Zającową! Komitet rzeszowski na to tylko liczy, że tak niedobrane s'adło nie zapowiada zgodnego pożycia i że chytra małżonka przyprawi swemu mężowi rogi na współkę z swym dawnym wielbicielem ze Lwowa, którego matka również z Zająców pochodzi, a nie z żadnych Zajączkowskich. Ale przebiegły wąż kusiciel na pewne się przeliczy. Nasza gmina włościańska to porządna niewiasta. Gdy małżonkowi swemu zaprzysięgnie dozgonną miłość i wierność, dochowa wiernie przysięgi i ani spojrzy na zalotnika, który ją, gdy bardzo młodą była, bałamucił. Od czegoż zresztą kontrakt przedślubny, który prawa i obowiązki przyszłych małżonków dokładnie określi? Tak jest, niema innego sposobu załatwienia reformy gminnej, jak połączenie

obszaru dworskiego z gminą. Wszelkie inne kombinacye, tworzenie gmin zbiorowych, byłyby tylko kosztownym eksperymentem i nie doprowadziłyby do tego, o co nam głównie chodzi — do zupełnej harmonii, do sanacyi gminy, wzmocnionej żywołem oświeconym i patriotycznym. Obawiają się niektórzy, że dwór i gmina, które sobie teraz tylko przez płot złorzeczą, porwą się za czuby, gdy pod jednym znajdą się dachem, że jeżeli gmina wybierze wójtem pana, będzie go obwiniać o wszystkie niemiłe jej zarządzenia, a w przeciwnym razie wyzyskiwać go będzie niemiłosieruie. Zapewne! Niema na świecie tak idealnej instytucyi, którejby najmniejsze niebezpieczeństwo nie groziło, ale w każdym razie obawy te są przesadzone.

I dzisiaj ogromna większość gmin żyje z dworem w zgodzie i harmonii, która się ustalić musi, gdy wszystkie słuszne postulata włościan zrealizowane zostaną. Chłop nasz zresztą nie jest już tak ciemnym, aby nie wiedział, że najniższa administracyjna władza, która od niego wybiera podatki, lub też wprowadza nakazane z góry zarządzenia sanitarne, samowładnie nie działa, ale wypełnia tylko przepisy ustawą wskazane. Nie jest również tak wojowniczym, aby wszczywał bój i swar tylko dla zaspokojenia swej kłótlivej natury. Wreszcie połączenie to musi nastąpić na mocy obszernej ustawy, która wzajemne prawa i obowiązki dokładnie określi i od wzajemnego wyzysku zabezpieczy.

W każdym razie będzie to bardzo ważny krok do wytworzenia nowych sił dla naszej narodowej armii.

Gdy to nastąpi i gdy ułożymy nasz bilans, okaże się, że pomimo wszystkich klęsk i ciosów losu jesteśmy jeszcze bogaci.

Antoni Fibich.



Socjalizm a kwestya agrarna.

Powiada stare niemieckie przysłowie, że kto papieża zaczepi, umiera. (Wer vom Papste isst, stirbt davon). Podobnie i socjalizm powiedzieć musi, że zaczepiwszy o kwestyę agrarną i szerząc propagandę między ludem wiejskim, sam dla siebie grób kopie.

Dopóki się obraca w sferze oderwanych pojęć i proletaryat wielkowiejski ma za całe audytorium, łatwo potrafi rzucić w oczy piaskiem sofizmatów.

Robotnik fabryczny, bezdomny i bez tradycyi, przenoszący się z miejsca na miejsce, jak nomada nowożytny bez zastrzeżeń przyjmie dogmata Marxa.¹⁾ Credo socjalistyczne, że początkiem każdej własności jest kradzież i rozbój, że pracodawca jako właściciel środków produkcji, kaduczem prawem przywłaszcza sobie nadwyżkę wartości zawartą w jego pracy, łatwo znajdują oddźwięk w duszy znękaney i przygnębioney.

Inaczej się przedstawia sprawa, kiedy chodzi o agitacyą w kraju czysto rolniczym, jak n. p. u nas w Galicyi.

Socjalizm może się w takim razie krzewić tylko wśród tych warstw, których interesa klasowe są te same, co i proletaryatu miejskiego, a więc wśród robotników wiejskich i kopalnianych i wśród włościan zagonowych, zmuszanych brakiem ziemi, wystarczającej im na wyżywienie siebie i rodziny, do pracy za najem dzienny, lub do zajmowania się przemysłem domowym.

Chłop siedzący na jakim takim kawałku ziemi i całą duszą przywiązany do ojczyznej zagrody, jest fanatykiem prawa własnościowego, stokroć gorszym od miastowego kapitalisty.

¹⁾ Według teoryi Marxa „Ueber den Mehrwerth“ kapitał mnoży się tylko przez kupowanie pracy ludzkiej i wyciskanie z niej największego produktu, albo zupełne i ciągłe, jak było w niewolnictwie starożytnym, albo czasowe, jak w dzisiejszym najmie robotnika.

To też albo drwinami przyjmie socjalistyczne orędzie, albo o tyle tylko da mu posłuch, o ile pobudza jego wilezy apetyt na łąkę i las i przyrzeka zwiększenie własnych korzyści i praw.

Zrozumieli to nasi domorośli socjaliści, bo agitując wśród ludu, nigdy nie przyznają się do swych ostatecznych zasad, jeno złote piszą hramoty o przyszłym samorządzie gmin, zwolnieniu od podatków, równości wszystkich we wszystkim i lechtają ucho chłopca symfonią, której pierwszym i ostatnim akordem jest owo stereotypowe „lisy i pasowyska“.

Wiedzą dobrze, że to tylko może im zapewnić posłuch ludu; głosząc konieczność wywłaszczenia, wybieraliby się pomiędzy lud chyba tylko na pośmiewisko, jak ów opat z bajki Uhlanda, co to siadł tyłem do karku końskiego i miasto uzdy trzymał ogon w ręku.

Nawet i oni znają miarę sowizdrzalstwa. Jak u nas w Galicyi, tak samo i za granicą socjaliści w dotychczasowej swej agitacji wśród ludności wiejskiej tej samej trzymali się metody. Wypisawszy na swym sztandarze obronę wszystkich słabych i uciskanych, socjalizm nie mógł zbywać niczem ludności wiejskiej, do czego zresztą pchała go konieczność, bo kto ziemię i lud ma za sobą, ten ostatecznie zaważyć może na szali dziejów.

Gospodarstwo jednak rolnicze ma inne prawa, niż przemysł fabryczny, ziemia jest czemś zupełnie różnem od kapitału ruchomego, ludność wiejska z natury swej musi mieć inne pragnienia i aspiracye, niż proletaryat miejski. To też socjalizm nie śmieie i jakby z obawą dotykał kwestyi agrarnej.

Dopóki chodziło o jazdę na koniku powszechnie znanych frazesów socjalistycznych — wszystko szło dobrze.

Z drukarni berlińskiej „Trybuny ludu“ rok rocznie wychodziło w świat tysiące broszur o pochłanianiu mniejszej własności ziemskiej, przez większą, o konieczności upaństwowienia ziemi, o rozbójniczych antenatach dzisiejszych junkrów etc. Kiedy chodziło jednak o wyraźne zaznaczenie stanowiska socyalnej demokracji wobec kwestyi agrarnej, wysuniętej dziś na pierwszy plan we wszystkich parlamentach Europy, socjalizm stanął bezradny i po długich debatach przyszedł do wniosku, że nawet programu wobec tej kwestyi mieć nie może. Nie jest to znakiem niedojrzałości politycznej stronnictwa, ale bezwiednym przyznaniem się do swej wewnętrznej niemocy i nicstwa. Socjalizm jako taki, a więc wysnuty z pisma Marxa i Lassalle'a, jest kłamstwem i właśnie kwestya agrarna dobyła na jaw wszystkie sprzeczności tego *ψευδος πολιτικόν*. Stało się to na

zjeździe socjalnej demokracji niemieckiej, odbytym we Wrocławiu w połowie zeszłego miesiąca.

Wiec ten na baczność zasługuje uwagę nie tylko dla wyniku obrad nad kwestyą agrarną, ale dla ich tonu i całego przebiegu.

Samo poczucie swej godności, jako stronnictwa potężnego w parlamencie zmuszało, socjalistów do przyjęcia tej kwestyi pod rozważę wiecu.

Rozcierać zawsze na sercu chłopca miód słodkich obietnic o wolnem używaniu lasu i pastwisk nie licowało jakoś z zapewnieniami stronnictwa, że nie chce brać na siebie podżegaczy do drugiej wojny chłopskiej z XVI w. Pomijając je milczeniem nie wypadło, bo kwestya agrarna wiąże się z kwestyą chleba, a zresztą ferment rzucony w masy ludu już dziafa i nie pozwala zatrzymać się w połowie drogi.

Pamięć jej w oczach świata uchodziłoby za przyznanie się do wewnętrznego rozkładu i bankructwa socjalizmu jako doktryny.

Trzeba więc było stanowczo odpowiedzieć, do czego właściwie dąży socjalizm w stosunku do ludu i całej kwestyi agrarnej: Do reformy, czy rewolucyi?

Wszak socjalizm dotyka ekonomicznej gospodarki państwa, dąży do polepszenia ekonomicznych stosunków, które gruntują się ostatecznie w produkcji rolnej, jest więc w praktycznych wnioskach sam kwestyą agrarną i musiał sam sobie dać z czasem to świadectwo.

Jak u nas o to samo pytanie rozbiła się przyjaźń pana Wysloucha z posłem Potoczkiem, tak i na wiecu przyszło z jego powodu do gorszących kłótni między najstarszymi przewodcami stronnictwa.

Podobno u starych Słowian świadek prawdę słów swoich stwierdzał przysięgą na garść „świętej ziemi“. Ziemia — ta matka i żywicielka ludzi — jest najlepszym probierzem żywotności każdego ekonomicznego problemu. Kwestya agrarna pokonała Gracchów, rozbiła w niwecz zamysły Cezara, ona też potężniejszą będzie od socjalizmu.

Jakby w przeczuciu owego ostatecznego programu, socjalizm chciał chyłkiem wyminąć kwestyę agrarną i przez pytanie: Reforma czy rewolucya — przedrzeć się tajemną furtką.

Nie pomogło jednak zaślanianie się ewangeliczną roztropnością „oportet et haec facere et illa non omittere“, bo rewolucya w duchu socjalnym oznacza zniesienie prawa własności; reforma stosunków agrarnych wieść musi do konsekwencyj wprost niezgodnych z kardynalnymi jego zasadami.

Pokazało się to zaraz po odczytaniu programu agrarnego, który polecał towarzyszom na publicznych zebraniach i w życiu prywatnem agitować w imię następujących idei:

W interesie cywilizacji kraju i dla podniesienia bytu robotników wiejskich i gospodarzy zagonowych wiec uchwala, aby towarzysze słowem i czynem agitowali w imię następujących idei przewodnich:

1. Czynności urzędowe i przywileje związane z większą posiadłością ziemską (samoistne obszary dworskie, prawa patronatu, fideikomisy, przywileje w płaceniu podatków) w najkrótszym czasie zniesione być mają.

2. Socjalna demokracja wszelkimi siłami starać się będzie, aby utrzymać i zwiększać publiczną własność ziemską (majątki państwowe i gminne), szczególnie zaś dbać będzie o zmianę posiadłości „mortuae manus“ (majątki klasztorne, kościelne i dotacyjne), jak niemniej lasów i sił wodnych we własność publiczną, zostającą pod kontrolą przedstawicieli ludu.

3. Włości państwowe i gminne mają albo same we własnym rachunku gospodarzyć, albo też należy je wydzierżawiać spółkom robotników wiejskich i włościan zagonowych (Kleinbauern), gdzie niemożliwem ani jedno, ani drugie, powierza się je samodzielnym gospodarzom, zostającym pod zarządem państwa.

4. Rząd ma udzielać pożyczek gminom i spółkom na podniesienie wydajności ziemi, oczyszczenie pola. Koszta budowy i utrzymywania publicznych środków komunikacyjnych (koleje, drogi, gościńce i wodospady) przejść mają na państwo.

5. Długi hipoteczne powinny być upaństwowione ze znizieniem stopy procentowej.

6. Upaństwowionem ma być także ubezpieczanie majątku ruchomego i nieruchomego (asekuracja od ognia i klęsk elementarnych).

7. Istniejące prawa używania lasu i pastwisk należy rozszerzyć z równem uprawnieniem wszystkich przynależnych do gminy.

8. Prawo polowania na własnym i wydzierżawionym gruncie ma być wolne.

Nie potrzeba zbytnej bystrości, by poznać, że przyjęcie takiego programu agrarnego byłoby tylko wodą na młyn państwa. Socjaliści spostrzegli się sami, że od lat piętnastu, odkąd wstąpili na drogę reform i w parlamentarnej swej działalności trzymali się zasady „chwilowych ulepszeń“, zawsze tylko dla drugich wyjmowali gorące kasztany z pieca.

Przeprowadzenie tak zwanej ochrony robotnika, kasy chorych, przymusowe ubezpieczanie ich od wypadków zwiększyło tylko wszechwładzę państwa, jego militarizm i biurokracją.

Upaństwowienie długów hipotecznych byłoby ostatnim krokiem do owego socjalnego królestwa, jak eufemistycznie można nazwać cezaryzm. W toku dyskusji, której niepodobna odmówić tonu wysoce naukowej rozprawy, pokazało się, że i stan czwarty mieć może swoich Cromwellów, Colbertów i Peelów.

Bebel, który jeszcze w r. 1893 uważał zaprowadzenie banku państwa i upaństwowienie długów hipotecznych za zamach na swobody ludu, dziś jest zagorzałym jego rzecznikiem.

Zdaniem jego manipulacja państwowa najwięcej jest kosztowna i to ma do siebie, że najłatwiej wywołuje niezadowolenie i gorycz.

Im więcej urzędników, tem większa między nimi bieda, tem podatniejszy stanowią oni grunt dla idei socjalnych.

Zaprowadzenie własności gminnej leży także w myśli socjalizmu, bo czyni zbyt czynnem wywłaszczenie, a socjalizm państwa łatwo zmienić w ustrój oparty na zasadach socjalnej demokracji.

Zanimby jednak do tego przyszło, cesarstwo niemieckie zmieniłoby się w drugą faraonską monarchią, w której nikt nie mógł ręką ruszyć bez wiedzy Faraona.

Upaństwowienie długów hipotecznych byłoby tylko zwiększeniem ciężarów publicznych, dzisiejszych wierzycieli, zadłużonych junkrów spłaciłby z własnej kieszeni robotnik, aby przy zniżonej stopie procentowej ułatwić im kartele w ustanawianiu wyższych cen zbożowych.

Nie bez racji pomawiano zatem Bebla, Liebknechta i Quarka o sprzeniewierzenie się pierwotnym ideom socjalizmu, fanatyczna wyznawczyni zasad rewolucyjnych p. Zettkin nie bez słuszności powiedziała o Beblu, że jeżeli we Frankfurcie wystąpił jako chwiejny Szaweł, to program agrarny można już uważać za prawdziwy jego Damaszek.

Jest to przekleństwem socjalizmu, że dla ludu nic właściwie zrobić nie może.

Jego pierwszym i ostatecznym celem jest zdobycie politycznej potęgi przez proletaryat. Chłopa w obronę brać może, ale występować musi przeciw jego własności i właśnie o ten szkopał rozbija się cała propaganda.

Mówić ludowi, że jako posiadacz zniknąć musi z oblicza ziemi, że nie ma praw i żadnej przyszłości i niczego od socjalnej demokracji spodziewać się nie może, póki proletaryat

nie będzie dyktował praw światu, nie najlepszą daje rękojmię powodzenia. Każda zaś reforma, jakiej się podejmie w kwestyi agrarnej, albo umacnia wszechwładzę państwa, albo wprost przeciw socjalizmowi się zwraca.

Jak wiadomo, na wiecu wrocławskim uchwalono 158 głosami przeciw 58 odrzucenie programu agrarnego aż do lepszego pogłębienia kwestyi agrarnej.

Takie „interim“ nie zażegna złego w zawiązku.

Nim socjalna demokracja ogłosi one uchwalone „Beiträge zur agrarischen Frage der social-demokratischen Partei“ — kwestya agrarna zaostarzająca się coraz bardziej, zbliży się jeszcze więcej do swego rozwiązania. Wówczas pokaże się, że socjalizm ma racją bytu w wielkomijskich centrach przemysłowych, na wsi, wśród ludu i wobec kwestyi agrarnej musi odłonić swą nędzę. Jeżeli poseł do berlińskiej rady państwa Dr. Singer nazwał wiec wrocławski kamieniem pomnikowym w dziejach socjalizmu, to kto wie, czy nie sprawdzi się niebawem, że kamienie zwykły najczęściej oznaczają groby.

Karol Wróblewski.



Z Rosyi.

Władza generał-gubernatora i żandarmeryi — Postanowienia i rozporządzenia generał-gubernatora.

Postanowienia i rozporządzenia generał-gubernatorowie niejednokrotnie wydawali takie, które były w sprzeczności z egzystującym prawem i nie tylko nie mogły służyć do utrzymania spokoju i porządku, lecz przeciwnie, mąciły go i nękały tylko nieszczęśliwą ludność. Cytujemy w przekładzie dosłownym jedno z takich rozporządzeń kijowskiego generał-gubernatora. Rozporządzenie to ma moc obowiązującą dotychczas.

1. Osoby parafialnego rzymsko-katolickiego duchowieństwa dla wyjazdu do sąsiednich parafij swego dekanatu, niezależnie od tego, czy granice dekanatu są w granicach jednego powiatu, czy też przekraczają jego granice, powinny prosić o to pozwolenia swego dziekana. Dziekan jednocześnie z wydaniem biletu na wyjazd, obowiązany uwiadomić z oznaczeniem liczby i numeru, za którymi został wydany bilet, miejscowego sprawnika, albo sprawnika tego powiatu, do którego udzielono pozwolenia na wyjazd.

2. Ustanowiony w § 1. porządek uzyskania pozwolenia na wyjazd osobom rzymsko-katolickiego duchowieństwa w granicach swego dekanatu, nie odnosi się do wyjazdu na tak zwane odpusty. Dla wyjazdu na nie, wszystkie wogóle osoby rzymsko-katolickiego duchowieństwa, obowiązane są prosić za pośrednictwem dziekana, pozwolenia naczelnika gubernii, który wydając podobne pozwolenie, obowiązany jest mieć na względzie, by wydawano je nie więcej, jak dwom, a w ostatecznym razie trzem obcym osobom rz.-kat. duchowieństwa, prócz miejscowego proboszcza.

3. Osoby parafialnego duchowieństwa, mające niezbędną potrzebę wyjazdu za obręb swego dekanatu, powinny poprzednio prosić na to pozwolenia władzy dycyzyjalnej, a następnie, by

skorzystać z tego pozwolenia, otrzymać bilet od władzy gubernialnej.

4. Wszystkie inne osoby rz.-kat. duchowieństwa, nie należące do parafialnego, a także osoby, które ukończyły kurs nauk w seminariach, lub akademii, chociażby nie otrzymały jeszcze posady (z wyłączeniem znajdujących się w klasztorach), dla wszelkiego rodzaju wyjazdu we własnym interesie, powinny posiadać pozwolenie władzy dyecezyalnej i bilet od właściwej władzy gubernialnej, otrzymany w porządku wskazanym w § 1.

5. Wszystkie wogóle osoby parafialnego duchowieństwa, nie prosząc zupełnie pozwolenia, mogą udawać się ze swych parafii do parafii z nimi graniczących, chociażby one znajdowały się w innym powiecie, ale tylko w następujących wypadkach: dla pogrzebu, wyповідania umierającego, ochrzczenia chorego dziecka, w tych wypadkach, gdy w parafii sąsiedniej nie mogą być spełnione te obrządki przez księdza miejscowego z powodu jego nieobecności, choroby, lub znacznej odległości.

6. Wszystkie osoby stanu duchownego, tak mieszkające w klasztorach, jakoteż i zakonnicy, prócz pełniących obowiązki parafialne, mogą otrzymywać pozwolenie na wyjazd ze swych klasztorów nie inaczej, jak na mocy prosby przełożonego klasztoru, zwróconej za pośrednictwem władzy dyecezyalnej do władzy gubernialnej ze szczegółowem wskazaniem przyczyn i terminu, na jaki wyjeżdżają.

7. Władzy dyecezyalnej daje się prawo, bez poprzedniego pozwolenia władzy gubernialnej, potrzebować w sprawach służbowych wszystkie osoby podwładne biskupowi, do Żytomierza, gdzie jest ześrodkowany zarząd dyecezyi. Podczas wizytacji biskupi mogą używać do tej parafii, do której udają się, proboszczów i wikaryuszów, lecz z zachowaniem koniecznie następujących warunków: *a)* by jednocześnie nie używano więcej jak trzech, a w ostatecznym razie czterech księży, *b)* by o każdym takim wezwaniu była powiadomiona władza gubernialna.

8. Wszystkie osoby rz.-kat. duchowieństwa, jak parafialnego, tak też i zakonnego, bez różnicy zajmowanych posad, na wypadek koniecznej potrzeby wyjazdu swego z miejsca ich stałego pobytu do północno-zachodnich gubernii, gubernii Przewiślańskiego kraju i gubernii kurlandzkiej, proszą o pozwolenie na wyjazd za pośrednictwem władzy dyecezyalnej gubernatora, a ten ostatni udziela pozwolenia na podobnego rodzaju wyjazd nie inaczej, jak po poprzedniem skomunikowaniu się o tem z generał-gubernatorem, lub gubernatorem tej miejscowości, do kąd udaje się proszący, przyczem ze strony miejscowego gu-

bernatora powinno być wskazane: czas, na jaki wyjeżdża, miejscowość, dokąd życzy wyjechać ksiądz i potrzeba, dla której prosił o pozwolenie na wyjazd.

Ochrańca, jak widzieliśmy, nadaje władzę prawie nieograniczoną generał-gubernatorom, grado-naczelnikom i zarządom żandarmeryi. Rozchody roczne w jednym grado-naczelnictwie Odeskim, stanowiącym miasto z przedmieściami i prawie przyległymi wioskami, dosięgają 100.000 rubli rocznie, tak, że za czas trwania ochrańcy (od 1881 r.) rząd wyasygnował na Odesę z górą 1½ miliona rubli. Suma ta utonęła w kieszeniach żandarmów i szpiegów. Żandarmi pobierają pensję podwójną. Mogą mieć nadzieję na nagrody, awansy i ordery. Znaczna też suma pieniędzy, przeznaczona dla agentów tajnych i tak zwane komenderówki także wpływa do kieszeń żandarmskich, tak, że ich roczna pensja jest właściwie mówiąc potrójną. Interes ich jest utrzymać ochrańcę jak najdłużej. I dlatego tworzą spiski, nie egzystujące stowarzyszenia, słowem wynajdują jakąś sprawę socyalistyczną, separtystyczną, narodową, tem bardziej, że podwójną pensję pobierają tylko wtedy, gdy jest w toku jakakolwiek sprawa. W razie zniesienia ochrańcy żandarmerya, mająca za zadanie śledzenia za sprawami politycznymi — zuosi się też. Cała falanga osobistości bez wykształcenia i zasad moralnych, nie mogących przy warunkach normalnych mieć żadnej pretensyi do zajęcia stanowiska wybitnego i opływania w dostatkach. Obarczona wreszcie przekleństwami i wzgardą ludności, zmuszoną by była do pędzenia życia w niedostatku, lub pełnienia w małym miasteczku obowiązków policyjnych. Broniąc swego stanowiska, żandarmerya w Petersburgu zawsze ma poparcie w klicie rządzącej, która utrzymując kraj w ciągłym napięciu, a cara w trwodze, rządzi i w wodzie mętnej łowi ryby.

Odeski generał-gubernator Krop, człowiek prawy, przekonawszy się, że ochrańca jest zupełnie zbyteczną, zrobił w tym sensie przedstawienie carowi. W Odessie postarano się poróżnić Kropa z archijerejem Nikanorem, który publicznie w cerkwi robił generał-gubernatorowi rozmaite szykany, nadmieniając, że prawowierną Rosyą rządzą innowiercy, następnie posypał się do Petersburga oskarżenia i donosy. Krop otrzymał dymisyę, a ochrańca wprawdzie nie w całym kraju, lecz tylko w Odeskim grado-naczelnictwie została utrzymana. Po wyjeździe już Kropa z Odessy, dwa lata temu, car na audiencji zapytywał hrabiego Mussina-Puszkina, głównego dowodzącego Odeskim wojennym okręgiem, czy w Odessie zawsze szerzy się ruch socyalistyczny. Otrzymałszy odpowiedź, że o ile mu wiadomo, niema tam

zadnych agitacji socyalistycznych i panuje zupełny spokój, car rzekł: Mnie mówią o tem inaczej, a ze skarbu państwa wydaje się 100.000 rubli na ochronę. Główno-dowodzący był tak nieostrożny, że rozmowę z carem powtórzył w kółku znajomych, o czem dowiedzieli się żandarmi. Nazajutrz rozpoczęły się rewizye, aresztowania i stworzono nową sprawę socyalistyczną. Żandarmerya stara się o to, by nigdy nie było spokoju i tworzy coraz to nowe sprawy. Najczynniejszą jest wówczas, gdy stworzona sprawa na ukończeniu, lub kończy się termin ochrany. Wówczas żandarmeryę ogartuje wprost, wpada ona w pewien obłęd, goniąc za osobami podejrzanymi, poczyną sama rozmowy, czy ochrona zostanie utrzymaną nadal. Dla utrzymania jej rozpoczynają się istne obławy na wrzekomych socyalistów, a gdy tych zabraknie, tworzą się nowe kwestye, jako polska, ormiańska, sztundystów i t. p.

Spraw socyalistycznych było u nas kilka. Sprawa 41., albo inaczej Kałasznikowa i towarzyszy. W gruncie rzeczy dość błaha. Stowarzyszenia jakiegokolwiek z programatem określonym, jak powiadają, nie było. Drukarni, o której szeroko rozповідаła żandarmerya, odkryć się nie udało. Nie zważając, że sprawy podobne prowadzą się w zupełnej tajemnicy, że oskarżeni nietylko nie mogą się bronić, lecz nawet nie wiedzą, o co ich oskarżają, wielu na mocy wyroku z Petersburga uwolniono, innym za kary zaliczono prewencyjne uwięzienie, kilku zesłano na 2—3 lata do Rosyi. Żandarmom potrzeba było stworzyć inną sprawę, gdyż inaczej zostaliby pozbawieni potrójnej pensyi, a nawet mogła być zniesioną ochrona. Rozpoczęły się nowe rewizye i aresztowania, po większej części tych, co należeli do sprawy Kałasznikowa. Z socyalistami należało dać za wygraną, gdyż stworzyć jaką poważniejszą socyalistyczną sprawę stało się rzeczą niemożliwą, a tu upływa termin usilenoj ochrany i przebąkują o jej zniesieniu. Hamletowskie pytanie: „być, lub nie być“, stanęło jasno i w całej grozie przed oczami żandarmeryi. Potrzeba było bądź co bądź stworzyć jakąś nową sprawę, by udowodnić, że żandarmi, ci nowoczesni „opriczniki“ są niezbędni, że podstawy egzystującego porządku są zachwiane, i że tylko oni mogą je podtrzymać. Sposobność ku temu wkrótce nadarzyła się i powstała, tak zwana sprawa polska, o której powiemy obszerniej w następnej korespondencyi.



U wrót Nowego Świata.

Za prawdziwe wrota Stanów Zjednoczonych trzeba uważać New-York. Wszystkie inne porty razem wzięte nie mogą się z nim mierzyć. W 1868 roku przez Nowy Jork przewieziono za 236 milionów dolarów rozmaitych towarów, zaś przez wszystkie inne porty Stanów Zjednoczonych razem wzięte tylko za 121 milionów dolarów. Cyfry te w ciągu ubiegłych lat stale wzrastając, doszły w r. 1892 dla Nowego Jorku do 536 milionów dolarów, zaś dla wszystkich innych portów razem wziętych tylko do 291 milionów dolarów. W ciągu tej samej epoki export Nowego Jorku z 166 milionów dolarów wzrósł do 405 milionów rocznie, zaś innych portów razem wziętych z 204 milionów dolarów do 610 milionów. Ilość pasażerów przybywających morzem do Nowego Jorku już w r. 1870 wynosiła 281.000, licząc w tem 256.000 emigrantów, zaś w r. 1892 przybyło do Nowego Jorku 581.175 pasażerów, a wśród nich aż 489.810 było emigrantami! W porównaniu z tem, cyfry innych portów nawet największych (do Bostonu w r. 1892 przybyło 37.071 pasażerów, do Filadelfii 32 754, a do wszystkich pozostałych portów razem wziętych tylko 85.660) nikną. Ciekawa rzecz, że na zwiększenie liczby emigrantów przybywających do Ameryki, coraz to większy wpływ wywierają Polacy. Do 1879 przybywało ich zaledwie kilkaset na rok — w 1880 nagle podskoczyła cyfra Polaków przybyłych do Stanów Zjednoczonych na 2177 i w przeciągu następnych lat dziewięciu wahała się między dwoma a sześcioma tysiącami rocznie. Znowu w 1890 podniosła się na 11.073, w 1891 doszła do 27.497, a w r. 1892 nawet do 33.299. Jest to cyfra znaczna, a oprócz tego bardzo być może, tkwi jeszcze pewna ilość Polaków w cyfrze podanej dla Rosyi 79.294 (za rok 1892). Emigranci są zapytywani, jakiej są narodowości, albo z jakiego pochodzą kraju. Oficjalna statystyka Stanów Zjednoczonych, wskazując cyfrę emigrantów z Rosyi i Austrii, dodaje „except

Poland“ (z wyjątkiem Polski), ustanawiając osobną rubrykę emigrantów z Polski, tak jakby Polska stanowiła niezależne państwo. Wyraża się w tem uznanie dla narodowości polskiej, tem więcej godne uwagi, że żadna z innych licznych narodowości, wchodzących w skład Państwa rosyjskiego nie została w ten sposób wyróżniona. Jednak wzmianki „z wyjątkiem Polaków“ brak przy cyfrze emigrantów przybywających z Niemiec, których w 1892 r. przybyło 130 tysięcy, a stąd zdaje się wynikać, że w tej wielkiej cyfrze kryje się pewna ilość naszych rodaków z Poznańskiego. Także chłopi i rzemieślnicy z Królestwa Polskiego lub Litwy, na zapytanie skąd przyjeżdżają, nieraz pewno odpowiadają „z Rosyi“, przez co podana cyfra polskich emigrantów byłaby zmniejszona.

Pragnąc o tych emigrantach Polakach, tak tłumnie do Nowego Jorku przybywających, dowiedzieć się czegokolwiek, udałem się do katolickiego kościoła, licząc na to, że od polskiego proboszcza (księdza Strzeleckiego) otrzymam wszelkie informacje. Ale spotkałem się z przyjęciem bardzo zimnem, a nawet podejrzliwem. Widocznem było, że przedemną ktoś usposobił młodego proboszcza sceptycznie względem ludzi, pytających się o informację, a nie przedstawiających żadnych osobistych i w zupełności wiarogodnych informacji o sobie. Wylądowałem w Nowym Jorku bez żadnych listów polecających, bez żadnych znajomości, więc nie miałem prawa od nikogo żądać zaufania. W mieście portowem, dokąd corocznie przybywa tyle gości, ile stałych mieszkańców posiada Warszawa, trudno jest zaufaniem darzyć każdego, i wskutek tego powstaje zasadnicza nieufność względem obcych, rażąca na pierwsze wrażenie przybyśza.

Pierwsze to wrażenie zresztą bardzo rychło zacierają gościnnosc amerykańska mniej ludnych okolic, gdzie wszyscy dziwnie są życzliwie usposobieni dla obcych i widzą w nich jeszcze nie tyle współzawodników, ile współpracowników. Tam gdzie dużo jest do zrobienia, jeden drugiemu pracy i zarobku nie zazdrości, tylko i owszem czuje się bezpieczniejszym, gdy więcej ma wokoło siebie ludzi, na których pomoc w potrzebie liczyć może.

Nie zrażony zimnem, a nawet podejrzliwem przyjęciem proboszcza, zacząłem się oglądać za innymi źródłami informacji. Wyjeżdżając z kraju, zapisałem sobie adresy emigrantów z naszej rodzinnej wioski i przyjąłem obowiązek odszukania ich i upomnienia o to, aby więcej myśleli i lepiej pomagali tym, których w domu zostawili. Pozostałe żony i matki uskarżały się, że zbyt mało otrzymują wiadomości, a jeszcze mniej ma-

teryjalnej pomocy od mężów i synów, którzy dali się namówić do wyjazdu za morze. Pokazywały mi listy, z których można było wnosić, że się emigrantom nieźle powodzi, choć pozostajej w kraju rodzinie wcale nie przysyłali pieniędzy. Postanowiłem zbadać na miejscu ich położenie i po przybyciu do Nowego Jorku porozpisywałem do nich listy z zapytaniem, czy jeszcze każdy z nich pozostaje w miejscu, skąd ostatni raz pisał do swoich. Po większej części bowiem emigranci ze wsi posiadali daleko od miast, jako robotnicy rolni, więc nie chciałem odbywać podróży napróżno, nie wiedząc, czy któregokolwiek jeszcze zastanę. Ale żaden z nich na list mój nie odpowiedział, pomimo tego, że do każdego listu dołączyłem kopertę do mnie adresowaną i opatrzoną właściwą marką. Widocznie woleli na nowej ziemi z dawnym swym dziedzicem się nie spotykać, co bardzo mi dało do myślenia. Nie miałem sobie żadnych grzechów do wyrzucenia, bo sam zawsze tylko gościem na wsi bywałem. Ale pomyślałem sobie, że i moich braci rolników spotkałby ten sam zawód, bo mało kto pragnie i umie się z chłopem zaprzyjaźnić. Nasi dziedzice zawsze patrzą na chłopów, jako na „bydło“ — nie zadając sobie pracy, aby wejść w ich położenie. Dziwne uprzedzenia zwiększają nieufność jednej kasty do drugiej. Dla szlachcica chłop jest „złodziejem“ dlatego, że nie mając opału w zimie, pozwala sobie używać gałęzie z lasu, który znowu w oczach chłopu wcale nie jest wyłączną własnością dziedzica. Dziedzic sądzi, że jeśli parobkowi zapłaci 22½ rabli rocznie i da strawę przeważnie złożoną z kaszy i kartofli, to już zrobił wszystko co powinien i tem zaskarbił sobie dozgonną wdzięczność parobka. Wyrzeka na lenistwo, niechlujstwo, niedbalstwo parobków i zapomina, że tylko dzięki pracy tych ludzi on sam może jeździć powozem, trzymać kucharza i podróżować za granicą. Cóż dziwnego, że parobek lub chłop, gdy w Ameryce spostrzeże wartość swej pracy, nie zbyt czule wspomina swoich dziedziców i dawnych panów. Zupełnie inaczej żydzi, którzy często już przed emigracją umieli zmuszać szlachtę do pewnego podziału zysków. Ci mile wspominają i bardzo gościnnie przyjmują. Miałem tego dowód, gdy odwiedziłem syna naszego młynarza Todresa, który przed kilku laty wyemigrował do Ameryki, a znalazłszy tam pracę, sprowadził swoją żonę i dzieci. Udałem się do jego mieszkania w dzielnicy gęsto zaludnionej o wysokich domach i po wielu wschodach kamiennych dostałem się na szóste piętro. Zastałem tylko jego rodzinę, gdyż on sam był u roboty. Ale gdy jego żona dowiedziała się kim jestem, i że przybywam z Drozdowa, gdzie mąż jej wyrósł i wychował się, natychmiast

posłała najstarszą córkę do niezbyt odległego warsztatu, gdzie Todres pracował. Tymczasem zacząłem się rozglądać po mieszkaniu, składającym się z jednego tylko dosyć widnego i obszernego pokoju. Zdziwiła mnie czystość, której nie napotykałem w chałupach żydowskich naszego kraju. Pani Todresowa objaśniła mi, że nie potrzeba przynosić wody, gdyż nawet w tak skromnym i ubogim mieszkaniu istnieje kran wodociągowy, tak że bez wielkiego zachodu może codzien kąpać swoje dzieci. Na stole zobaczyłem książki i dowiedziałem się, że dzieci uczęszczają do bezpłatnej szkoły, gdzie się uczą po angielsku. Gdy przybył gospodarz, powitał mnie z wielką serdecznością, podając mi rękę, bez śladu tej uniżoności, z którą ojciec jego w Drodzowie przychodził do mego ojca. Co mnie najwięcej zdziwiło, Izaak Todres mówił poprawnie po polsku, niż przed swym wyjazdem do Ameryki. Zapytany o przyczynę powiedział, że w Ameryce więcej się zbliżał do chrześcijan emigrantów z Polski, niż w Polsce. Tęsknił do kraju, w którym spędził większą część swego dotychczasowego życia i tęsknota ta ciągnęła go do nowo przybywających z Polski. Ci zaś, wyładowawszy w Nowym Świecie, już nie traktowali żyda tak pogardliwie, jak w rodzinnej wiosce. Zbliżenie to obudziło nawet w Todresie patriotyzm polski, którego on dawniej wcale nie znał. Z wielkiem zajęciem wypytywał się o losy naszego kraju, o to, czy mamy jakie lepsze nadzieje i wyrażał swe zdania w sposób świadczący, że musiał się namyślać nad kwestyami politycznymi. Pracował w dużym warsztacie krawieckim i zarabiał 2—3 dolarów dziennie. Opowiadał, jak istotne zdolności w jakimkolwiek rzemiośle rychło znajdują uznanie i odpowiednie wynagrodzenie w Ameryce, zupełnie inaczej niż u nas. Chwalił szkoły Nowego Jorku za to, że w nich dobrze uczą, ale żalił się, że szkoła ta przerabia jego dzieci na Amerykanów i rozwija w nich instykt indywidualnej niezależności, przeciwległy patryarchalnym stosunkom panującym w rodzinach żydowskich w Polsce. Ale i jego kilka lat pobytu w Ameryce zmieniło do niepoznania. To nie był już nasz polski żyd, podejrzliwy, uniżony, natrętny i bojący się władzy — to był obywatel Stanów Zjednoczonych, pełen godności osobistej i świadomy swoich praw. Potem nieraz to pierwsze wrażenie znalazło swe potwierdzenie: Ameryka dziwnie łatwo i prędko przerabia przybywających z Europy emigrantów na ludzi nowych, więcej oddanych swej nowej ojczyźnie, niż tej, z której pochodzą. Nie przeszkadza to im łączyć się według narodowości i organizować stowarzyszenia patryotyczne. Jednak potomstwo emigrantów po kilku pokoleniach, o ile nie stanowi jedno-

litych kolonii, jak Polacy w Milwaukee lub Chicago, zupełnie przerabia się na Angloamerykanów pod wpływem szkół publicznych, prasy, zebrań ludowych i interesów miejscowych. Przewaga angielskiego szczepu nad innymi występuje tu w całej sile. Już dzieci Todresa mówiły lepiej po angielsku niż po polsku, a i on sam czytał biegle angielskie gazety.

Nazajutrz po moich odwiedzinach u niego, przyszedł do hotelu w którym zamieszkałem i ofiarował swoje usługi i towarzystwo przy zwiedzaniu obcego mi miasta. Gdyśmy wsiedli do tramwaju, koniecznie chciał za mnie zapłacić i wogóle traktował mnie jak najmiłszego gościa, pomimo tego, że we wsi, gdzie obaj się wychowaliśmy, żadną nas bliższe stosunki nie łączyły. Nie chcąc zabierać mu czasu i odrywać go od pracy, pożegnałem go wkrótce, pod pozorem, że wyjeżdżam. Zapytał się, jakim pociągami i dokąd jadę i koniecznie chciał mnie odprowadzić na dworzec, pragnąc mi ułatwić wyjazd. Niepodobna było podejrywać w tem wszystkim o jakąkolwiek interesowność, bo ani on niczego nie potrzebował odemnie, ani też jego rodzice później po moim powrocie niczego więcej się nie domagali, jak tylko jedynie wiadomości o wnukach i synu.

Od Todresa dowiedziałem się też o innych Polakach, o polskich restauracjach, kawiarniach i polskich pismach periodycznych. Dziwnie ludowy charakter mają te pisma. Redaktor każdy przynajmniej z tych, których w Nowym Jorku poznałem, ma prócz literatury inne lepiej popłacające rzemiosło. Jeden z nich był szewcem, drugi kelnerem, trzeci konduktorem tramwajowym. To im wcale nie przeszkadzało rozprawiać o polityce, jakby byli posłami do Rady Państwa. Pisma ich, jak n. p. „Gazeta Polska“, „Nowiny Nowojorskie“, lub „Światło“ (socyalistyczne) są pozbawione wszelkich literackich pretensyi; wymyślają sobie wzajemnie tak szczerze i obrazowo, jak przekupki Starego Miasta; w porównaniu z tą literaturą wszystkie nasze kuryery są wytworne.

Jakościowo nasi emigranci przedstawiają się najmniej korzystnie. W ciągu ubiegłego roku ¹⁾ u. p. analfabeci wśród polskich emigrantów stanowili 31%; tylko Włosi z 36% analfabetów pozostawali za nami w tyle — podczas kiedy Szkotów nie umiejących czytać było tylko 2%, Irlandczyków 7%, Rosyan 26%, Austro-Węgrów 29%. Również niekorzystne świadectwo wystawia nam statystyka rzemieślników wśród emigrantów. Z Polaków przybyłych do Ameryki w ciągu ostatniego roku zaledwie jeden na 23. umiał jakieś rzemiosło — z Rosyan

¹⁾ Według Weekly Times Nr. 963, z 14. czerwca 1895 r.

jeden na 18, z Włochów 1 na 14, z Niemców 1 na 10, z Francuzów 1 na 9, z Belgijczyków 1 na 7, z Anglików 1 na 5, ze Szkotów 1 na 4. Tylko Austro-Węgry pod tym względem pozostały w tyle nawet za Polską, albowiem zaledwie 1 na 29 emigrantów z tego państwa posiada jakieś rzemiosło, zaś inni mogą się podjąć tylko najpośledniejszej pracy, nie wymagającej żadnej umiejętności. Tacy ludzie po większej części przybywający ze wsi, gdy się dostaną do olbrzymiej stolicy, jaką jest New-York; nie wiedzą jak sobie dać radę i często wpadają w sidła czyhających na nich agentów, którzy zawierają z nimi długotrwałe umowy, korzystając z niedoświadczenia tych emigrantów. Posyłają ich jak bydło w odległe okolice, gdzie każą im ciężko pracować za taniem wynagrodzeniem. Nie znając języka, w otoczeniu obcym, są jakby zaprzędani w niewolę, aż dopóki z czasem się o swych prawach i o wartości swej pracy nie dowiedzą. To też, o ile dobry rzemieślnik, umiejący choćby po niemiecku, zawsze znajdzie korzystne zajęcie za oceanem, o tyle znowu trudno doradzać emigrację naszym ciemnym chłopom, jeśli mają być pozostawieni samym sobie, bez umiejętności i uczciwej opieki. Warunki wyzywające emigrację nie zależą od nas i nie tego ruchu nie powstrzyma, dopóki istnieją dlań głębsze przyczyny. Ale pożądanem byłoby zorganizować pomoc dla emigrantów, osiedlać ich systematycznie w najodpowiedniejszych okolicach, gdzie mogliby tworzyć całe kolonie i zachować swoje odrębne cechy. Organizacya podobna wymagałaby nie tyle środków, ile ludzi dobrej woli i znających stosunki. Pewne usiłowania w tej mierze były już nieraz podejmowane, ale prawie zawsze rozbijały się o brak środków materialnych i moralnych. Leży to po części w warunkach samego Nowego Jorku, przez który większa część emigrantów przybywa. Choć miasto to pod względem zaludnienia ustępuje Londynowi a nawet Paryżowi, bo liczy według najnowszych danych zaledwie dwa miliony mieszkańców, to jest ono w istocie największem na świecie. Leży na granicy dwóch państw Stanu New-York i Stanu New-Jersey, a blisko granicy jeszcze dwóch innych państw, Pensylwanii i Connecticut. Wskutek tego, że nazwa New-York ograniczona jest do tej części olbrzymiej stolicy, która się mieści między rzeką Hudson a East River i których odległość nie przenosi kilku kilometrów, w statystyce New-York wydaje się mniejszem miastem, niż jest w rzeczywistości. Statystyka bowiem nie może uwzględniać tego, że sąsiadujące z Nowym Jorkiem miasta jak Jersey City, Hoboken, Newark, Elisabeth, choć leżą w innem państwie i rządzą się innemi prawami, w istocie stanowią tak dalece

jedną całość, jak London i Westminster. Także Brooklyn, ze swym milionem przeszło mieszkańców, jest tylko przedmieściem Nowego Jorku. Jeśli nie troszcząc się o administracyjne podziały, spojrzymy na tę grupę miast połączonych, jako na prawdziwy Nowy Jork, wtedy przyznamy, że jest to największa stolica na świecie, dotąd jeszcze trochę mniej zaludniona niż Londyn, ale wzrastająca o tyle szybciej, że musi z czasem przerosnąć nawet Londyn. Dziś ten „większy Nowy Jork“ zawiera już półczwarta miliona mieszkańców, rozproszonych na przestrzeni, na której możnaby Londyn razem z Paryżem pomieścić. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że Londyn dziś ma tylko 7 razy więcej mieszkańców niż na początku tego stulecia, a New-York jest trzydzieści kilka razy więcej zaludnionym, niż w 1800 r. — to musimy przyznać, że optymistyczne nadzieje Nowojorczan co do przyszłości ich stolicy są w zupełności uzasadnione.

Europejczyk po raz pierwszy pozostawiony sobie wśród olbrzymiego ruchu tego ludzkiego mrowiska, łatwo traci głowę i doznaje przygniatającego wrażenia. Szczególniej uderza to, że większa część ruchu ulicznego odbywa się kolejami i tramwajami elektrycznymi. Niewidzialne siły poruszają wagony i pociągi całe wzdłuż drutów powietrznych nad niemi rozciągniętych. Wiele tych pociągów przelatuje nad głowami przechodniów, na wysokości kilku pięter. Długiej praktyki trzeba, aby trafić, dokąd się kto chce dostać. Piechotą za daleko, doróżki są niedostępnie drogie, jeden kurs kosztuje kilka do kilkunastu guldenów, więc rad nie rad każdy musi się oswoić z nowożytnymi środkami komunikacji. Patryarchalne omnibusy, ciągnięte końmi, tak liczne dotąd w europejskich stolicach, zastąpione zostały w Nowym Jorku i innych miastach Stanów Zjednoczonych przez różnego rodzaju wehikuly chodzące po szynach. Szyny te, stanowiące sieć pokrywającą całe miasto, zbyt często bywają używane jako ostatnie łożo przez ludzi, którym się to burzliwe amerykańskie życie sprzykrzyło. Również często zachodzą i przypadkowo nieszczęścia. Niema dnia, w którymby gazety nie donosiły o przejechaniu kogoś. Wogóle życie ludzkie nie bardzo się tu ceni. Przy budowach wznoszących swe kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt pięter ku górze, giną setki ludzi. Amerykanin w każde przedsięwzięcie kładzie całą swą duszę, a często nadwyręza siły. Ambicya go pobudza do szalonej konkurencji. Kolej z koleją, miasto z miastem, fabryka z fabryką ciągle z wytężeniem całej energii starają się współzawodniczyć, aby osiągnąć pierwszeństwo.

Na każdym kroku słyszy się takie zdania, jak: to jest najwyższy dom w Stanach Zjednoczonych — to jest najbogatszy

człowiek w Nowym Jorku, ten pociąg jest najszybszym na świecie itd. Wszystko co daje się obliczyć lub zmierzyć bywa ciągle porównywane z innymi przedmiotami tegoż gatunku. Każdy obywatel stara się pod jakimkolwiek względem być najpierwszym. Wewnętrzna gorączkę tą zalewają potokami zimnych limonad. Na każdej ulicy spotykamy mnóstwo sklepów z wodami mineralnymi. W takim sklepie widać szereg kranów z napisami oznaczającymi nazwy wód z nich płynących, a także soków owocowych do tych wód dodawanych. Ulubiona w Europie woda sodowa z sokiem cytrynowym lub malinowym także tutaj przeważa, ale jest daleko zimniejsza, gdyż błodzą ją nie zapasy lodu, tylko rury z kondensowanym amoniakiem. Jeden chłopiec w Nowym Jorku opowiadał taki sen charakterystycznie amerykański: „Śniło mi się, że zaszedł do nieba i tam siedział Pan Bóg. Spytał mnie się, czy nie chcę szklanki limonady. Powiedziałem i owszem. Wziął wielką szklankę, większą niż najwyższa wieża na ziemi i zaczął lać najprzód soku kilka garncy, potem najzimniejszej wody sodowej kilka beczek, zmieszał największą na świecie łyżką i z uśmiechem mi podał. Już miałem wyciągnąć rękę, gdym przypomniał sobie, że nie mam pięciu centów na zapłatę za szklankę wody. Ukłoniłem się grzecznie, podziękowałem i wyszedłem“.

Zimna woda jest tak dalece niezbędną dla Amerykanina, że nawet na pociągach kolei żelaznych w każdym wagonie jest beczka wody z lodem, którą podróżni ochładzają sobie palące gardła. Do tego samego rodzaju objawów fizjologii społecznej należy nadzwyczajna obfitość sklepów z owocami i orzechami. Nie mogę tego przypisywać Deusmore'owi, który dotąd jeszcze tylko w szczupłych kołach jest znany i uznany — widać raczej Deusmoryanizm wyrósł na powszechnej skłonności Amerykanów do jedzenia owoców. Liczne te sklepy i stragany z owocami po większej części są utrzymywane przez Włochów, których wielu mieszka w Nowym Jorku.

Polacy, których poznałem w polskich kawiarniach, ¹⁾ jednogłośnie wskazywali mi pana Jerzmanowskiego, jako najlepiej obeznanego ze stosunkami polskimi w Ameryce. Udałem się do jego bióra Equitable Gas Co. na rogu 25. ulicy i 3. Avenue. Przyjął mnie uprzejmie, ale mało miał czasu, tak że tylko przez kilkanaście minut z nim rozmawiałem. Uskarżał się na

¹⁾ Kawiarnie te są po części po prostu szynkami. Oto kilka adresów dla tych coby chcieli, nie mając znajomych, trafić do Polaków w Nowym Jorku: Jabłoński 95 Chrystie Str., Chęciński 118 N 4th Str. Brooklyn ED., Gospoda polska 16 Rivington Str., Hotel Polski 19 Rector Str. 9th Aven.

brak łączności i solidarności wśród Polaków w Ameryce i przepowiadał, że w ciągu kilku pokoleń zostaną oni w zupełności przerobieni na Amerykanów i zapomną o pierwotnej swej ojczyźnie. Jeśli pan Jerzmanowski ma słuszność, to wielka byłaby szkoda, bo mamy w Stanach Zjednoczonych około dwóch milionów Polaków, których łączne siły moralne i materialne prawdopodobnie są większe, niż siły takiej samej ilości Polaków w Europie. Jako zaradczy środek przeciwko wynarodowieniu tych emigrantów zalecał pan Jerzmanowski emigrację ludzi wykształconych i władających już pewnymi zasobami kapitału. Dotychczas znaczną większość emigrantów polskich stanowią ludzie bez wykształcenia ani majątku, łatwo ulegający zewnętrznym wpływom i łatwo wpadający w zależność od innych. Wszyscy oni cywilizują się rychło w Ameryce, ale przejmują się cywilizacją gotową, już amerykańską, tracąc cechy swojskie. Stany Zjednoczone dziś są wielkim warsztatem postępu, u którego pracuje najlepsza część wychodźców różnych narodowości europejskich. Wytwarzają oni nowe stosunki społeczne, nowe obyczaje, nowe prawa i konstytucye, nowe szkolnictwo i wszystko to po większej części lepsze niż w Starym Świecie, z większym uwzględnieniem praw słabszych i wymagań rozumu. Ale nie jest bynajmniej niezbędnem, żeby wszyscy, co w tem dziele biorą udział, tracili cechy narodowości, z których pochodzą. Zupełna swoboda indywidualna pozwala obywatelom Stanów Zjednoczonych tworzyć Związki wszelkiego rodzaju, bez wyłączenia stowarzyszeń narodowych i patriotycznych.

Korzystają z tego także Polacy, mają swoje korporacje religijne, a nawet wojskowe, swoje bractwa i pułki, ale dotąd za mało mają swoich szkół. Tylko szkoła może utwalić tradycję narodową i uchronić charakterystyczne dodatnie cechy Polaków od zaniku. Dopóki młodzież polska w Ameryce będzie uczęszczać do wspólnych szkół angielskich, grozi jej wynarodowienie. Do utrwalenia narodowości nic się tak nie przyczynia, jak wpływ literatury i historii narodowej — które od dzieciństwa poznawane, wywołują szereg niezatartych wspomnień i kształtują myśl młodych patriotów. Można być dobrym Polakiem i jednocześnie dobrym obywatelem Stanów Zjednoczonych, jak tego dowodzi między innymi osobistość pana Jerzmanowskiego, który zajmując wybitne stanowiska w Nowym Jorku i w Chicago, pomimo tego dowodzi swego przywiązania do kraju, hojnie przeznaczając na potrzeby rodaków znaczne środki, zdobyte w przybranej ojczyźnie. Stany Zjednoczone są jedną wielką kolonią, nie Anglii, ale całej Europy i każdy naród powinien w miarę sił korzystać z warunków, które tam

powstały. Jeszcze 150 lat temu większa część dzisiejszego terytorium Stanów Zjednoczonych należała do Francuzów i Hiszpanów. Jakkolwiek dzisiejsza przewaga angielskiego języka, angielskich praw i obyczajów zdaje się być decydująca, nie zapominajmy, że jest tam miejsce na dziesięć razy więcej ludzi, niż wynosi obecna ludność, i że siły jednostek energicznych i przedsiębiorczych daleko większe owoce tam przyniosą, niż w Europie. Tam niema wojen, mało podatków, żadnych ograniczeń wspólnego działania. Tam czekają niewyczerpane i po części niezbadane jeszcze bogactwa mineralne, nieużyte siły żyznych gruntów, potężnych rzek, a nawet wiatrów o stałych kierunkach. Tam istnieją ramy dla niezem nieskrępowanego i nieograniczonego rozwoju i postępu jednostek i stowarzyszeń, społeczeństwa i narodów.

Tam rozstrzygają lub rozstrzygać się będą losy ludzkości, a także Europy. Naród nasz, w Europie należący do najpłodniejszych, w Stanach Zjednoczonych może dojść do bardzo wielkiego znaczenia przy pewnej systematycznej organizacyi tych fal emigracyjnych, które nędza i niewola z Europy wypycha. Trzebaby wzmódz siłę tych fal o tyle, aby część jej starczyła na wywołanie fal powrotnych. Trzeba walczyć z przesadą odległości i zastąpić modę wycieczek do Paryża, lub do Włoch pożyteczniejszym obyczajem praktyki życiowej w Ameryce, zdobywania tam doświadczenia i majątku i powrotu na starość do ojczyzny. Widok tych powodzeniem uwieńczonych emigrantów zachęcałby coraz to liczniejsze przedsiębiorcze jednostki do wypróbowania swych sił w Nowym Świecie. Powracałyby one stamtąd, zdobywszy zasoby moralne i materialne i uzbrajałyby swych następców, aby jeszcze skuteczniej przyjęły udział w konkurencyi narodów, jaka tam ma miejsce.

Obecność wśród nas byłych obywateli Stanów Zjednoczonych wieleby wpłynęła na naszą dojrzałość polityczną i społeczną. Liczne stosunki pozawiązywane między rodakami w obu światach ułatwiałby powodzenie każdej sprawy, obchodzącej cały naród.

Ten stosunek ciągły i bliski między Ameryką a Europą dotąd jest tylko widoczny w Irlandyi. Emigracya z Irlandyi do Ameryki od lat wielu jest liczniejszą, niż z innych krajów Europy i doprowadziła do tego, że dziś związek Irlandczyków amerykańskich z europejskimi o wiele wzmógł siły pierwotnej ich ojczyzny.

Niektórzy śmiało przepowiadają, że jeśli Anglia nie uwzględni ich słusznych żądań, lada dzień Irlandya ogłosi swoją niepodległość i przyłączy się do Stanów Zjednoczonych,

pod których opieką będzie umiała pozostać niezależna nawet pomimo całej siły floty Wielkiej Brytanii. Być może przepowiednie te jeszcze nie prędko zostaną ziszczone, ale groźby podobne mają wpływ na położenie Irlandczyków w Europie i w pewnej części przyczyniły się do pozyskania liberalnego stronnictwa angielskiego dla sprawy autonomii irlandzkiej. Nie chcę przez to powiedzieć, żeby Anglicy przestraszyli się groźby, ale groźba, nawet trudna do urzeczywistnienia, uwydatnia najlepiej miarę doznanej krzywdy i wywołuje współczucie. Po Irlandczykach Niemcy utrzymują najliczniejsze stosunki z Ameryką i dostarczają też przeszło piątą, a w niektórych latach nawet przeszło trzecią część wszystkich europejskich emigrantów. Ale Niemiec dziwną ma łatwość przystosowania się do miejscowych warunków — zupełnie tak jak nad Wołgą staje się Rosjaninem, tak samo w Stanach Zjednoczonych bardzo często ulega wpływom angielskim i niewdzięcznie zapomina o europejskiej ojczyźnie. Polaków pierwsze pokolenie, a przeważnie dotąd mamy tam dopiero pierwsze pokolenia, bardzo tęskni za krajem i czuje się jakby na wygnaniu. Za to ich dzieci zbyt chętnie lubią popisać się angielskim językiem i z politowaniem patrzą na konserwatyzm ojców.

Naturalnie podaję te wrażenia tylko za to, co są warte i nie chcę bynajmniej uogólniać. Widziałem tylko drobną część Polaków zamieszkałych w Nowym Jorku i nie miałem żadnej możliwości przekonać się dokładnie, jak dalece to, com widział, zasługuje na uogólnienie. Zresztą nawet gdyby tak było, to wzrastająca z każdym rokiem liczba emigrantów z Polski przybywających może wpłynąć na zupełną zmianę stosunków, szczególnie jeśli tak zwana inteligencja zacznie również przyjmować udział w wychodźstwie.

W. Lutosławski.

